

# Kazimierz Kalinowski, Henryk Pielński

---

## Dyskutujemy o procesach politycznych : (część II)

---

Palestra 33/8-10(380-382), 1-19

---

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# palestra

---

**ORGAN  
NACZELNEJ  
RADY  
ADWOKACKIEJ**

**8-10**  

---

**1989**

WYDAWNICTWO PRAWNICZE — ROK XXXIII — 380—382 — SIERPIEŃ—PAŹDZIERNIK 1989 R.

**ISSN 0031-0344**  
**INDEKS 36851**

R. Łyczynka pt.: Zarys historii procesów politycznych w Polsce 1918—1988, opublikowanym na łamach „Palestry” w ubiegłym roku (nr 11—12 z 1988 r.). Witam Prezesa NRA mec. dra Kazimierza Łojewskiego, witam Koleżanki i Kolegów!

Przypominam, że na pierwszym zebraniu, które się odbyło 24 lutego br., wygłoszony przez mec. Tadeusza de Viriona referat dotyczył procesów politycznych w okresie tzw. stalinowskim, tzn. w latach 1945—1955.

Dzisiejsze spotkanie dotyczy procesów politycznych w latach 1968—1988. Będzie o nich mówił mec. Szczuka. Jest to okres w powojennej historii Polski równie tragiczny jak okres stalinowski ze względu na dolegliwości, jakie poniósł naród, zwłaszcza w okresie trwania stanu wojennego. Można uznać ten okres za następny okres martyrologii Polaków. Wprowadzenie stanu wojennego było aktem bezprawnym w świetle gramatycznego brzmienia art. 36 Konstytucji.

Proszę kol. Szczukę o zabranie głosu.”

Adw. Stanisław Szczuka powiedział między innymi, co następuje:

„Chcę najpierw powiedzieć o swoim pierwszym procesie politycznym, w którym byłem obrońcą. Jest to proces dlatego interesujący, że dotyczył tzw. pozaustawowej działalności państwa. Proces zresztą już zapomniany. Ale ponieważ pewni jego uczestnicy są jeszcze czynni w wymiarze sprawiedliwości, będę unikał nazwisk i pewnych bliższych szczegółów. Ci, którzy znają historię ostatnich 30 lat, będą wiedzieli, o co chodzi.

Był to okres po 1956 r. Na teren naszego kraju miały wtedy swobodny dostęp publikacje Instytutu Literackiego w Paryżu, a m.in. „Kultura” i inne pisma. Po pewnym jednak czasie zaczęto w jakiś sposób dopytyw tych publikacji ograniczać, wyjaśniając to najpierw niedoskonałością poczty, a potem brakiem debitu komunikacyjnego i najróżniejszymi innymi okolicznościami. Byli jednak ludzie, którzy nie tylko pismo to czytali, ale publikowali w nim swoje artykuły. Czynili to zresztą pod pseudonimami. W sprawie tej chodziło o trzech wybitnych dziennikarzy, bardzo wysokiej rangi, zarówno jeśli chodzi o ich pozycję polityczną jak i literacką. Jeden z nich był redaktorem czołowego konserwatywnego pisma w okresie międzywojennym. Drugi jest uwielbianym do dziś pisarzem wszystkich pokoleń Polaków, a niektórzy uważają go w ogóle za największego spośród pisarzy. Trzeci również nie był byle kim, był bowiem przewodniczącym konspiracyjnego Związku Literatów w okresie okupacji. Byli to więc wytrawni pisarze, doskonale zorientowani w tym, jakie są granice bezprawności ówczesnego art. 23 tzw. małego kodeksu karnego.

Państwo, które nie było zadowolone z ich działalności, nie mogło nie reagować, ale trudno było ich na czymś „złapać”. Nawet gdyby rozszyfrowano ich pseudonimy, byłoby to jeszcze za mało. Nie jestem karnikiem, ale wiem, że potrzebne byłoby zezwolenie prokuratora na przeglądanie ich korespondencji. Podjęzowano ich zresztą, że przy przesyłaniu tych materiałów korzystają z drogi pozapocztowej. Prokuratura uciekła się więc do działalności pozaustawowej państwa. Znalaziono pewnego człowieka (Panie, świeć nad jego duszą. Nie ma go już między żyjącymi, więc nie będę wymieniał jego nazwiska). Na czym polegały jego usługi? Zaprzyjaźnił się on z tymi trzema panami, którzy zaznajomili go z enuncjacjami wysyłanymi do «Kultury» paryskiej. Następnie dokonano pewnego przetasowania, co polegało na tym, że człowiek ten podjął się przekazywać ich materiały do Paryża. Przepisując ich listy, umieszczał w nich ewidentnie nieprawdziwe wiadomości mogące wyrządzić istotną szkodę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W ten sposób wciągnął ich w konieczność odpowiadania za te czyny zgodnie z zamiarem prokuratury. Powiodło się to znakomicie. Punkty, które dopisywał (za zgodą, oczywiście, odpowiednich czynników), były nie do obrony. Zastosowano też i taki chwyt, że nie mogąc doręczyć tych listów przedstawicielowi jednej z zachodnich agencji prasowych, ów człowiek podarł te listy i wyrzucił je do kosza. Oczywiście ci, którzy to z góry zaplanowali, dokładnie listy posklejali i miały one stanowić podstawę do wszczęcia postępowania karnego. Tak się jednak złożyło, że ktoś gdzieś rozmyślił się. Rozmyślił się ze względu na osoby tych dostojnych pisarzy. Ale coś trzeba było zrobić, bo zaczęli oni protestować. No i co zrobiono wówczas? Oskarżono po prostu tego człowieka, któremu zlecono omawiane działanie w ramach pozaustawowej działalności państwa. Zarzucono mu, że to on sam napisał wszystkie te listy i że pod pseudonimami publikuje je w «Kulturze». Przerażenie tego człowieka było wręcz straszne, tym bardziej że miał już przedtem bardzo kontrowersyjną sprawę z art. 38 małego kodeksu karnego, przy czym jedna rewizja była na jego korzyść, druga była rewizją nadzwyczajną, obie nadzwyczajne były na jego niekorzyść. A więc znalazłszy się w więzieniu na Rakowieckiej uważał, że los jego jest przesądzony, jeżeli ta władza, która zleciła mu owo zadanie, opuściła go. I wtedy, proszę Państwa, zdecydowałem się go bronić, mimo że był on otoczony powszechną pogardą.

No i broniłem tego człowieka i przekonałem się w toku sprawy, że obrona ta może być skuteczna, chociaż dopiero na szczeblu drugiej instancji uzyskałem całkowity sukces obrończy, ponieważ Sąd Wojewódzki, obniżając skazanemu karę do najniższej, ustalił na dodatek w motywach, że byłby nawet za tym, aby skazanemu tę karę zawiesić, gdyby tylko ustawa na to zezwalała. Ale przy przestęp-

stwie umyślnym zagrożonym minimum 3-letnią karą zawieszenia było w tej sprawie niemożliwe.

Takie to były wtedy sprawy. Ludzie w ramach pozaustawowej działalności państwa przyznawali się w nich do popełnienia przestępstw, których w ogóle nie było. Zresztą wszystko było wtedy nieprawdziwe: sąd był nieprawdziwy, akt oskarżenia był nieprawdziwy i dowody rzeczowe były nieprawdziwe. Tylko jedna rzecz była prawdziwa: kat. A o sprawie, która nie była aż tak dramatyczna, mówię dlatego, żebyśmy sobie zdali sprawę z tego, iż całe społeczeństwo powinno strzec się tego, aby podobne nadużywania procesu karnego do pozaustawowej działalności państwa nigdy nie zdarzały się w naszym porządku prawnym.

To była pierwsza w mojej praktyce adwokackiej obrona polityczna — że tak powiem — z konieczności. Następne były przypadkowe, a to dlatego, że ci, którzy mogliby podjąć się tych obron, byli w tym czasie wyeliminowani przez zawieszenie ich w czynnościach zawodowych. Nie było innego wyjścia.

Podjąłem się więc tej obrony w sprawie, o której mówiłem, ja, cywilista, i siedziałem na ławie obrończej obok wybitnych karników. Jest tu zresztą obecny na sali najznakomitszy obrońca, który bronił pierwszego z oskarżonych w omówionej przeze mnie sprawie. Jakie nadużycie procesowe było w tym procesie? Otóż starano się stworzyć w nim pewnego rodzaju pojęcie grupy, pojęcie pewnego współdziałania osób, które w gruncie rzeczy nie tylko nie współdziałały ze sobą i nie tylko nie były w toku postępowania przygotowawczego ze sobą konfrontowane, ale spotkały się po raz pierwszy dopiero na ławie oskarżonych. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że nie był to proces przeciwko ludziom, lecz, jak go określała opinia publiczna na świecie, a nawet częściowo w kraju, proces przeciwko książkom. Był to po prostu proces, którego celem było zdyskredytowanie czasopisma paryskiej „Kultury”, a zwłaszcza osoby jej redaktora i Instytutu Literackiego, aby udowodnić, że jest to agencja CIA i że ci, którzy z tą organizacją współpracują, będą musieli liczyć się z tym, iż ich działalność zostanie uznana za przestępstwo.

Jeśli chodzi o oskarżonego, którego ja broniłem, to chciałem tu zwrócić uwagę na jeszcze jedno nadużycie procesowe, a mianowicie na nadużywanie pojęcia wejścia w porozumienie z osobą pozostającą na usługach jakiejś obcej organizacji lub obcego państwa w celu szkoderzenia. Otóż paradoksalność figury procesowej mojego klienta polegała na tym, że trzeci z kolei oskarżony, którego — jeżeli dobrze pamiętam — bronił ś.p. mec. Zygmunt Branicki, był tym przedstawicielem obcej organizacji, z którą wszedł w porozumienie mój klient, natomiast dla tamtego to mój klient był trochę tym przedstawicielem, czyli powstawało procesowe *circulus vitiosus*.

Mówię o tym procesie dlatego, że występowały w nim dwa elementy tego, co nazywa się reżyserią procesową. Przede wszystkim spotkali się ludzie, którzy ani się nie znali, ani nie mieli żadnego ze sobą związku, a poza tym stworzono przedstawiciela obcej organizacji dla dwu. Jeden był dla drugiego przedstawicielem tej organizacji, podczas gdy żaden z nich nigdy chyba nie był w Paryżu i nie znał redaktora Giedroycia.

Otóż, proszę Państwa, co jeszcze tkwiło w tym okresie i w tym procesie i w innych podobnych, o których jeszcze powiem, niewłaściwego? Było to wytwarzanie klimatu wokół osób oskarżonych przez organizowanie specjalnej sali, która stwarzała pozory otwartego dostępu dla każdego, a w gruncie rzeczy była to publiczność wymienna, ale wpuszczana za biletami. Chodziło o pewnego rodzaju programowe pokazanie: o patrzcie! to są agenci! I jeżeli oskarżeni używali słów takich, jak ojczyzna, patriotyzm czy jakieś inne sformułowanie tego rodzaju, to prasa, piśząc o tym, brała te słowa w cudzysłów. Nigdy nie zapisano Wolna Europa. Zawsze podawano to w brzmieniu angielskim lub niemieckim. To też była pewnego rodzaju taktyka i też pewnego rodzaju nadużycie. Było to częściowo transmitowane przez radio. Wówczas to poczułem głęboką sympatię do przedstawiciela naszej korporacji, który ostro zaprotestował przeciwko oślepieniu nas reflektorami na ławie obrończej. Pamiętam to, bo to też była pewnego rodzaju próba ograniczenia naszych i oskarżonych praw do obrony. Wydaje się, że to środek czysto techniczny, ale i on ma pewne znaczenie. Zastosowanie tych środków powinno być takie, żeby w żadnym wypadku nie zakłócało procesu po stronie tych, którzy tego procesu byli podmiotem.

Co, proszę Państwa, było jeszcze zasadniczym elementem następnych procesów politycznych tego okresu. Były one w gruncie rzeczy robione tak, jak się robi filmy kryminalne, tzn. że liczyło się na to, iż ten, kto będzie oglądał poszczególne odcinki w telewizji, nie będzie szukał w tym logiki, ponieważ, zajęty bezpośrednim tokiem akcji, zdąży zapomnieć, co było w odcinkach poprzednich, a kiedy zacznie się nad tym zastanawiać i pomyśli, że przecież to, jak to się mówi, „kupy się nie trzyma”, to wtedy będzie już po wszystkim, bo po wyroku. To jest pewnego rodzaju ówczesna technika procesowa, która często uniemożliwiała zauważenie oczywistych braków logicznych, oczywistych wyrw w materiale dowodowym, w postępowaniu procesowym dlatego, że proces był wielokrotnie przerywany, nie dawał wrażenia całości i uniemożliwiał prześledzenie tego przez publiczność, która w jakiś sposób była z góry nastawiona na określoną i konkretną ocenę materiału dowodowego i tego postępowania.

Nie będę wracał do zagadnienia, czy były w tych procesach kwalifikacje słuszne, czy nie, bo to już inna kwestia. Ale chciałem się z

Państwem podzielić taką ogólną moją refleksją dotyczącą procesów politycznych tego okresu. Posługuję się pojęciem „proces polityczny”, ale przyznam się, że oczekuję od naszej nauki czy od naszej praktyki i od specjalistów zdefiniowania tego pojęcia, bo jest ono bardzo nieostre. Wiemy, że na przykład w czasach, kiedy państwo realizowało swoje określone cele ekonomiczne za pomocą środków politycznych i środków represyjnych, wtedy właściwie każdy proces był procesem politycznym. Już poprzednim razem, kiedy miałem zaszczyt zabierać tu głos, mówiłem o tym, że zasadniczym podmiotem procesu karnego powinien być oskarżony, a nie jakiś określony program polityczny, który dzięki oskarżonemu i wykorzystaniu procesu ma być realizowany zupełnie niezależnie od formalnej odpowiedzialności karnej.

Co jeszcze w tym okresie uważałem w procesach politycznych za niewątpliwe nadużycie, na co za każdym razem zwracałem uwagę — niestety, z reguły nieskutecznie? Otóż formułowano akt oskarżenia, sprzecznie z przepisami kodeksu postępowania karnego, w ten sposób, żeby oskarżony nie wiedział, o co jest oskarżony, a obrońca nie wiedział, jak go bronić. Podam przykład. Jeśli ktoś był oskarżony o to, że w czasie od ... do rozpowszechnił fałszywe wiadomości polegające na rozpowszechnianiu książek, przenoszono zaś te fałszywe wiadomości tylko przykładowo do uzasadnienia aktu oskarżenia, to człowiek ten nie wiedział, o co jest oskarżony dlatego, że prokurator w swoim przemówieniu cytował kilka przykładów jakichś fałszywych, jego zdaniem, wiadomości zawartych w tych tomach, a często było to kilkadziesiąt książek. Obrońca to odpierał. Sędzia znajdował w tych setkach stron jakieś inne zdanie, które uważał za wystarczające do tego, żeby je podciągnąć pod odpowiedni artykuł ówczesnego artykułu 23 m.k.k. W gruncie rzeczy oskarżony nie wiedział, o co jest oskarżony. Prokurator widział to inaczej, inaczej widziała to obrona, a jeszcze inaczej widział to sąd. Praktycznie biorąc, było to pozbawienie oskarżonego prawa do obrony. Niestety, takie akty oskarżenia były przyjmowane i dopiero — trzeba to przyznać — przed sądami wojskowymi, przynajmniej okręgu warszawskiego, uwzględniane były nasze wnioski o zwrot aktu oskarżenia do prokuratury w celu uzupełnienia przez wskazanie, jakie to mianowicie są te fałszywe wiadomości i jakie mogą być konkretne materiały, które przemawiałyby za takim rozstrzygnięciem sprawy.

Proszę Państwa, chcę tu jeszcze powiedzieć o procesach, w których brałem udział, a mianowicie o dramatycznych procesach okresu rozruchów na terenie Radomia. Jakże można by — przy niewątpliwiej winie, nie kwestionowanej przecież przez żadnego z oskarżonych w odniesieniu do stanu faktycznego — wysunąć tu zarzuty nadużycia procesu karnego dla celów politycznych? Bez-

sporną rzeczą jest to, że w wydarzeniach na ulicach Radomia brały udział wielotysięczne tłumy. Jako wielotysięczną rzeszę ocenili funkcjonariusze Służb Bezpieczeństwa tych, którzy weszli do ówczesnego gmachu Komitetu Wojewódzkiego. I co się stało? Otóż wybrano spośród tych ludzi, jeżeli sobie dobrze przypominam, grupę nie przekraczającą 30 osób, które postawiono w stan oskarżenia tylko dlatego, że byli już wielokrotnie karani. Pamiętam, że rekord pobił człowiek, którego bronił jeden z warszawskich kolegów, a który miał tych karalności aż osiem. Brałem udział we wszystkich tych procesach i najbardziej uprzywilejowana moja klientka miała tylko dwie karalności, natomiast jeden z klientów miał ich co najmniej pięć. Jest rzeczą zrozumiałą, że cel tego rodzaju postępowania zarówno władz prokuratorskich jak i dochodzeniowych był zupełnie oczywisty. Zmierzało takie postępowanie do poinformowania społeczeństwa, że rozruchy były wynikiem działania zawodowych kryminalistów i że w działaniach tych żaden prawdziwy i uczciwy robotnik nie mógł uczestniczyć i nie uczestniczył, bo nie był oskarżony.

Na tle tej sprawy muszę powiedzieć, że chciałem w tych procesach być obrońcą, ale tylko w sprawach politycznych, natomiast kategorycznie odmówiłem obrony tych ludzi, dla których zablokowanie dostępu do gmachów publicznych było okazją do rabowania sklepów na ul. Sienkiewicza. Otóż byli tacy, którzy chcieli ich przedstawić jako przestępców politycznych. Ja ich za takich uznać nie mogłem i nie przyjąłem żadnej tego rodzaju obrony. Wydaje mi się, że tak szeroko pojętej działalności politycznej nikt nie może przyjąć za uzasadnioną i znajdującą oparcie w okolicznościach tej sprawy.

Chcę Państwu powiedzieć o jeszcze jednej sprawie, która też była nadużyciem procesowym, popełnionym w warunkach uprzywilejowanych pod względem faktycznym. Chcę o niej mówić dlatego, że łączy się z nadużyciem wiadomości specjalnych i biegłych w procesie karnym.

Doprowadziło to do przeprowadzenia eksperymentu śledczego w sposób z góry zakładający jego wynik i do skazania oczywiście niewinnego człowieka. Oczywiście niewinnego człowieka, który będąc poprzednio karany, nie mógł liczyć na warunkowe przedterminowe zwolnienie i całą bardzo wysoką karę odbył. A wszystko opierało się na fałszywym przyznaniu się do winy współoskarżonego. Jeden z naszych kolegów wygłosił wtedy znakomitą obronę, bardzo długą i bardzo obszerną, mimo że wszyscy, nie wyłączając woźnej, konwoju i licznej publiczności, byli przekonani o niewinności oskarżonych, również i tego, który przyznał się do winy. Była to bardzo ponura sprawa. Występowałem w niej w charakterze oskarżyciela posiłkowego i twierdziłem, że sprawcami śmierci czło-



wieka na pewno nie byli ci ludzie, na których chciano zwalić całą winę. Stworzono w ten sposób fikcyjne oskarżenie o fikcyjny czyn dokonany w określonym miejscu i czasie. Sprawa ta nie była głośna, toczyła się w Radomiu, a wspominam o niej dlatego, że warto, aby prawnicy sięgnęli do niej jako do przestrogi, że i taki proces można zrobić.

Chcę dodać, że zarówno w procesie o kontakty z paryskim Instytutem Literackim jak i w procesie, o którym przed chwilą wspomniałem, starano się w jakiś sposób sparaliżować obronę przez wytworzenie wokół niej nieprzychylniej atmosfery, atmosfery pewnego zastraszenia. Mam tu nawet książkę, w której opisano nasz udział w tym procesie. Dziennikarka o wielkim nerwie pisarskim, opisująca bardzo interesująco niektóre procesy o przestępstwach pospolicznych, zamieściła w tej pracy bardzo nieprzyjemne oceny wystąpień obrończych. Wydaje mi się, że nie jest to w porządku, zwłaszcza że było to w toku procesu, a więc jeszcze przed wydaniem wyroku. Wydaje mi się, że również prasa powinna zaoszczędzić sobie tego rodzaju ocen incydentalnych, proceduralnych czy innych zachowań się obrońców, jeżeli wykracza to poza zakres rzetelności i obiektywizmu.

Otóż, proszę Państwa, miałem sprawę o nadużycie wolności słowa jako obrońca w procesie, w którym również uciekano się do opinii biegłych, i to biegłych o dużych kwalifikacjach w dziedzinie spraw związanych z bezpieczeństwem użycia pewnych środków niebezpiecznych. Bieglі ci nie ugięli się przed sugestią prokuratury i nie stwierdzili, aby środki, których na szczęście nie użyli oskarżeni, miały być środkami wybuchowymi. Mimo niezwykle gwałtownego ataku oskarżycieli na ich opinię, biegli ograniczyli się do stwierdzenia, że są to środki inicjujące możliwość gwałtownego wywołania pożaru. Ponieważ w tym procesie zapadł niezwykle kontrowersyjny wyrok, gdyż dokonano w nim ustaleń zupełnie sprzecznych z ustaleniami innego sądu powszechnego (rozpoznawał on inny fragment tej działalności i w innej miejscowości, ale popełnionych w takich samych okolicznościach), pozwoliłem sobie w swojej rewizji zamieścić następujące zdanie:

„W poprzednim pokoleniu wymiar sprawiedliwości pod pozorem stosowania prawa zajmował się usuwaniem ze społeczeństwa najlepszej części narodu, najbardziej zaangażowanych patriotów i najlepszych Polaków. Skutki tego działania były katastrofalne. W stosunku do pewnych ludzi nie dało się nic naprawić, innych, których nie zamordowano, zrehabilitowano, a dziś następne pokolenie czyta książki o ich czynach i akcjach, które przeprowadzali. Bez względu na to, czy niegdyś sądzący sędziowie wiedzieli, że zarzuty i dowody są mistyfikacją, nikt dziś do tamtych wyroków nie wraca, bo wszyscy bez względu na poglądy polityczne wiedzą, że ówczes-

ny wymiar sprawiedliwości skompromitował się. Nie od rzeczy jest tu napomknąć, że wielu spośród tych sędziów opuściło kraj w różnym kierunku. Nie będę ich tu wymieniał, bo wszyscy wiedzą, że — posługując się językiem polskim — pełniąc funkcje polskich sędziów, nie byli Polakami ani z serca, ani z sumienia, nie byli sędziami i dlatego mogli robić to, co robili.”

I za to zostałem postawiony w stan oskarżenia dyscyplinarnego za nadużycie wolności słowa i za to zgłoszono wniosek o wymierzenie mi kary pozbawienia wykonywania zawodu w rozmiarze jednego roku. Sprawa była sądzona trzykrotnie przez Komisję Dyscyplinarną pierwszej instancji i trzykrotnie przez Komisję drugiej instancji. Skończyła się wyrokiem pozbawiającym mnie prawa wykonywania zawodu przez okres 3 miesięcy.

Dziękując za umożliwienie mi wypowiedzenia się tu w lokalu naszej korporacji, chcę je zakończyć jedną kwestią. Niech wymiar sprawiedliwości będzie wymiarem sprawiedliwości dla człowieka, niech nie będzie przedmiotem manipulacji politycznej, propagandy jakichś założeń politycznych, ekonomicznych, społecznych czy jakichś innych. Niech oskarżony w ramach obowiązującego prawa będzie głównym podmiotem procesu, niech nie będzie pod obstrzałem jakichkolwiek nacisków oburzenia, nienawiści, sugestii, niech ma prawo do rzetelnej, bezstronnej obrony, niech będzie oskarżony i broniony w warunkach, które naprawdę będą realizowały zadania wymiaru sprawiedliwości. Po tych fatalnych latach powinniśmy stać niezłomnie przy tym, żeby ta era wolności, w którą teraz wkraczamy, stała się wolnością prawdziwą, a nie pozorowaną. Dziękuję Państwu.”

Następnie zabrała głos mec. Halina Piekarska, która między innymi podniosła:

„Proszę Szanownych Koleżanek i Kolegów. Nie będę mówiła o procesach, lecz o artykule pana mecenasa Łyczywka, o jego ocenie procesów politycznych w Polsce w okresie ostatniego 70-lecia. Muszę przyznać, że bardzo lubię czytać w „Palestrze” złote wybrane myśli, które redaguje od czasu do czasu mec. Łyczywek. Jestem pełna szacunku dla jego wielkiej wiedzy, benedyktyńskiej pracowitości oraz dla bogactwa tematów, którym poświęca swoje życie. Dlatego też z wielką radością i entuzjazmem zaczęłam czytać ten artykuł, ale w miarę, jak się w nim zagłębiałam, ogarnęły mnie rozczarowanie i gorycz. Muszę powiedzieć, że znalazłam tam coś innego, niż się spodziewałam. Nie mogę zgodzić się ani z metodyką tego artykułu, ani z wyrażonymi kilkakrotnie opiniami o wymiarze sprawiedliwości ostatniego 45-lecia w Polsce. Dlaczego?

Otóż spodziewałam się, że znajdę tam skrótowo potraktowaną historię wymiaru sprawiedliwości w Polsce przedwojennej, bo prze-

cież proces brzeski czy proces o zabójstwo prezydenta Narutowicza każdy polski prawnik zna jak pacierz. Tymczasem proporcja jest zupełnie inna. Mianowicie z 30 stron pracy 20 poświęcono tym pierwszym procesom, a zaledwie 10 stron dobie po II wojnie światowej. Gdy przyjrzałam się bliżej tym właśnie okresom, które mnie bardziej interesowały — bo przecież nie było jeszcze właściwie żadnej publikacji poświęconej procesom tego okresu, tj. między latami 1945—1988 — zauważyłam, że stykam się właściwie z jakimiś myślami mec. Łyczywka, których do złotych myśli nie zaliczytałbym. Bo, proszę Państwa, chyba największym wrogiem historii jest pomijanie i przemilczanie. Przemilczanie to też nieprawda. Nie mogę wcale zgodzić się z tym, że omawiając „proces szesnastu” mec. Łyczywek pominął fakt śmierci głównego oskarżonego. W nrze 6 z dnia 11.II.1989 r. „Prawa i Życia” czytamy oświadczenie jedyne żyjącego uczestnika tego procesu mec. Adama Bienia, że 24 grudnia 1946 r. gen. Okulicki żył jeszcze, bo słyhać było poprzez cele, że tam się stała jakaś tragedia, bo był jakiś krzyk, jakieś hałasy i od tej pory wszelki ślad po generale zaginął (nie znaleziono jego ciała) i milczenie zaległo nad tą sprawą. Uważam, że należało to umieścić w omówieniu tego procesu.

Nie rozumiem także tej oszczędności czy też delikatności uczuć, która spowodowała, że w artykule zostały przemilczane nazwiska adwokatów, według mnie — zhańbione. Osobiście uważam, że owi adwokaci nie byli godni znajdować się na liście adwokatów polskich po swych wystąpieniach. Jednym z takich wypadków było wystąpienie obrońcy w procesie biskupa Kaczmarka. Treść jego wystąpienia była taka: „Obrona nie ma żadnych zastrzeżeń co do zebranego materiału dowodowego i nie ma również żadnych zastrzeżeń w przedmiocie kwalifikacji prawnej zarzucanego oskarżonemu czynu” (str. 126 pracy mec. Łyczywka). Obrońcą w tym procesie był mec. M. Maślanko. W trzy lata potem następny obrońca w tej samej sprawie oświadczył, że nawet w czasach stalinowskich proces ten był największym bezprawiem wśród wszystkich procesów. Jak można nazwać postępowanie takiego adwokata? Kto to jest, my wiemy, ale dla historyka nazwiska nie są *odiosa*, nie powinny być takimi.

Drugi wypadek miał miejsce w procesie Stronnictwa Pracy i Kwaśborskiego. Adwokat śmiał powiedzieć wtedy na sali sądowej: „Wysłuchaliśmy tu spizowych słów logiki aktu oskarżenia, dziś wypowiedzianych przez usta Prokuratora. Nie ma nie tylko — zdaje się — na sali, ale nie ma w ogóle w całej Polsce nikogo, kto nie podpisałby się oburącz pod ogólnymi założeniami tego aktu oskarżenia” (str. 127 pracy mec. Łyczywka).

No i wreszcie trzecie oświadczenie adwokata, które mnie jako Polkę najbardziej zabołało. Padło ono w procesie Wacława Lipiń-

skiego, w tzw. procesie Romantyków Socjalizmu, a powiedziane było w nim dosłownie tak: „Wstąpił do Legionów, był pod wpływem ideologii wychowany, a ponieważ ta ideologia była zła, więc go wypaczyła” (str. 127 pracy mec. Łyczywka). Czy taki obrońca powinien znajdować się na liście adwokatów? I dlaczego był na niej?

Proszę Państwa, stała się chyba jeszcze gorsza rzecz, mianowicie: czy można sobie wyobrazić historię procesów politycznych w Polsce po II wojnie, jeżeli chodzi o rehabilitacyjne procesy, bez nazwisk mec. Władysława Winawera i mec. Anieli Steinsbergowej? Czy można też wyobrazić sobie w ogóle historię procesów politycznych lat późniejszych, powiedzmy ostatnich lat 30, bez podania nazwisk obrońców w tych procesach? Proszę wybaczyć, że wyliczę może 10 tych nazwisk (a powinnam wyliczyć ich ok. 50!) naszych kolegów: Władysława Siła-Nowickiego, Jana Olszewskiego, Edwarda Wendego, Tadeusza de Viriona, Annę Bogucką-Skowrońską, Andrzeja Grabińskiego, Stanisława Szczukę, Jacka Taylora, Stanisława Afendę. Przepraszam, że tylko tyle, ale to jedynie przykładowo.

Tak wygląda kwestia obrońców politycznych i wydaje mi się, że nie trzeba się wstydzić ich nazwisk, lecz trzeba być dumnym z tego, że położyli oni swój talent, intelekt i troskę o własne bezpieczeństwo na jednej szali ze swoją powinnością.

Tak samo uważam za błąd w pracy — nie wiem, czy zamierzony — że ani słowa nie ma w niej o represjach, jakie ponosili obrońcy za swoją działalność. Nie mówię o tych 48-godzinnych aresztowaniach kol. Wendego czy kol. Boguckiej-Skowrońskiej, matki kilkorga dzieci, zatrzymanej w okresie „Solidarności”, ale weźmy chociażby kol. Siła-Nowickiego i kol. Andrzejewskiego. Kolega Andrzejewski za użycie w piśmie procesowym pewnego sformułowania był przez rok zawieszony w czynnościach adwokata, a kolega Siła-Nowicki nie mógł pełnić funkcji w Naczelnej Radzie Adwokackiej dlatego, że miał stałe toczące się dyscyplinarki. I proszę Państwa, przypomnę jeszcze, że na tej sali na zebraniu Naczelnej Rady Adwokackiej kol. Siła-Nowicki odczytał swój memoriał do gen. Jaruzelskiego, a wówczas siedzący przy stole prezydialnym prof. Secomski wezwał wszystkich przedstawicieli Ministerstwa i innych oficjeli do opuszczenia sali, bo, jak się wyraził, w takim „wiecowym nastroju” nie chciał przebywać.

To wszystko przecierpieli obrońcy polityczni.

Materiały dotyczące tych procesów czekają na opracowanie. Brak już materiałów dotyczących czasów stalinowskich. Niektórzy nasi koledzy zmarli, część ich — podobnie jak i część sędziów — rozjechała się w różne strony świata, ale każdy z tych, którzy są w Polsce, na naszą prośbę zjawia się i chętnie służy posiadanymi materiałami. Historia musi być tak opracowana, żeby stanowiła

zwierciadło rzeczywistości, żeby nie była jej wypaczeniem.

Dlaczego używam słowa „wypaczenie”? Bo w kilku miejscach nie mogę zgodzić się z twierdzeniem mec. Łyczywka, że represje były łagodne. Pisze to doświadczony adwokat, wielki adwokat, który sam przecierpiał kiedyś represje. Pierwsze jego zdanie dotyczy czasów „Solidarności”. Twierdzi, że te wyroki były łagodne (str. 132 pracy mec. Łyczywka), bo były w pobliżu najniższego wymiaru kary. No dobrze, ale przecież kwestionowano winę, zarzucano brak cech przestępstwa w czynach oskarżonych. Przecież wiemy doskonale, że np. glosa o *lex retro non agit*, opracowana przez mec. T. de Viriona i in. dla „Palestry”, została zakwestionowana, a potem trochę w innej wersji została wydrukowana w „Państwie i Prawie”. Są rzeczy, których chyba nie można uznać za łagodne represje. Mec. Łyczywek pisze (str. 133 jego pracy), że łagodny był wymiar sprawiedliwości w orzecznictwie karno-administracyjnym w tych oślawionych kolegiach, o których pisał wiele razy red. S. Podemski, a również i ja ogłosiłam artykuł w „Słowie Powszechnym” z 15 marca tego roku ze wszystkimi danymi, że 250 tys. ludzi odcierpiało areszt z powodu niemożności zapłacenia grzywny. Kara zastępcza, tj. areszt, został orzeczony — naturalnie — bez kontroli sądu. Doszło do tego, że nawet wiceminister Czubiński w wystąpieniu telewizyjnym powiedział: „W kolegiach musi się zmienić”. Większość uczestników przy „okrągłym stole” oraz większość tych, którzy pracują nad reformą prawa karnego, wypowiada się albo wręcz za zlikwidowaniem kolegiów, albo też za tym, żeby nad każdym zastosowaniem aresztu przy kolegiom istniała kontrola sądowa.

Wreszcie i z trzecim stwierdzeniem mec. Łyczywka nie mogę się zgodzić. Brzmi ono tak: „Oszczędność w stosowaniu środków represyjnych osłabia również intensywność tendencji do podejmowania mało odpowiedzialnych akcji politycznie odśrodkowych” (str. 133 jego pracy). Proszę Państwa, uważam, że pisanie o małych represjach wtedy, kiedy może ich w ogóle nie być, jest chyba niestosownym ujęciem takiej sytuacji przez adwokata, bo ja stale podkreślam, że to zostało napisane przez adwokata. Gdyby to napisał minister Balcer czy gdyby to napisał pan Soroka, to wtedy nie dziwiłabym się. Albo, proszę Państwa, co mec. Łyczywek nazywa „odśrodkowym działaniem politycznym”? Czy chodzi o demonstracje studenckie? Czy o żądanie zmniejszenia budżetu dla wojska lub kontyngentów wojsk radzieckich w Polsce? Czy też na przykład o żądanie, aby wreszcie zgodnie z życzeniem Towarzystwa Historycznego zakończyć sprawę katyńską bez oczekiwania na dokumenty, których nie ma lub których nie można uzyskać?

Kończąc, muszę powiedzieć, że nie znalazłam w tym artykule wyraźnego potępienia ani metodyki śledztwa w okresie stalinowskim, ani fikcyjności procesów, ani w ogóle okrucieństwa. Wydaje

mi się, że jakby z tego artykułu wiało coś, co może tkwi w niewielkiej liczbie adwokatów, w nielicznych grupach bardziej oportunistycznych, które te lata przespały, nie zdziały nic w sprawie obrony wolności, w kierunku demokratyzacji, pluralizmu, w kierunku wypowiedziania się za reformą. I dlatego, jak się poważnie nad tym artykułem zastanowię, to uważam go za pewne *signum temporis*, chociaż nie wiem, kiedy on był pisany. Wydaje mi się, że może był pisany w latach siedemdziesiątych — dokładnie nie wiem — a uzupełniony teraz, bo w taki sposób pisało się w tamtych latach. Dlatego uważam, że nie można się gziwić, proszę Szanownych Koleżanek i Kolegów temu, że mamy taką sytuację, iż w Sejmie nas nie ma, a w Komisji ds. Reformy Prawa Karnego przy Ministerstwie Sprawiedliwości jest czterech adwokatów i dwunastu milicjantów.”

Jako trzeci mówca zabrał głos mec. Andrzej Grabiński, który między innymi powiedział:

„Do zabrania głosu zmusił mnie fragment artykułu mec. Łyczynka dotyczący procesów tzw. stalinowskich. Szczerze mówiąc, chciałem zabrać głównie dlatego głos, że ludzie mojego pokolenia, ludzie, którzy w sposób świadomy przeżywali okupację i pierwsze lata po wyzwoleniu, o tym wszystkim, co ja powiem, wiedzą doskonale, chociaż czasem może próbują zapomnieć.

Ocena tych procesów została w jakiś sposób podsumowana w wystąpieniu mec. de Viriona, który mówił o tym, że to nie były procesy, lecz bezprawie. Tak, to było bezprawie, to nie były procesy. Ale to bezprawie wykonywane było przez aparat wymiaru sprawiedliwości, przez sądy, prokuratury lub pod nadzorem prokuratury. Proszę Państwa, z komunikatów prasowych w tej chwili wiemy, że 5 kwietnia udaje się do Katynia delegacja w celu pobrania prochów Ziemi Katyńskiej, ażeby z całą czcią złożyć te prochy zarówno pod Krzyżem Katyńskim na cmentarzu Wojskowym, jak i na Grobie Nieznanego Żołnierza. Tu mała dygresja. Paradoksem jest, że jeszcze nie tak dawno broniłem przed sądem ludzi, którzy byli oskarżeni i skazani za to, że właśnie w tej Dolince Katyńskiej ustawiali z własnej inicjatywy krzyż dla uczczenia pomordowanych w Katyniu. Ten krzyż, pod którym będą teraz uroczystie układane prochy z Katynia! Ale tych ludzi skazanych za oddanie czci pomordowanym w Katyniu nikt dotychczas nie zrehabilitował.

Ale to dygresja mało ważna. Rzecz istotniejsza jest inna. Nie wiem, czy Państwo zwrócili uwagę na artykuł M. Szejnert, jaki ukazał się niedawno w „Tygodniku Powszechnym” pt.: Cmentarz Stuzewiecki. W tym artykule nie ma wszystkich danych. Teren, o którym tam mowa, obejmuje około 1 hektara. Według wstępnych i szacunkowych obliczeń jest tam pogrzebanych około 2 tys. ludzi.

Dwa tysiące ludzi, którzy byli przywożeni w nocy, bez ubrań, często w papierowych workach, głęboko zakopywani w ziemi i przysypywani wapnem. A potem, po 1956 r. teren ten włączono do cmentarza. I na tym cmentarzu, na tym terenie, są obecnie urządzone groby innych ludzi, pochowanych legalnie.

W Katyniu leży 4,5 tys. ludzi — żołnierzy-oficerów. Na cmentarzu Służewieckim 2 tys. ludzi przywożonych nocą albo z ul. Rakowieckiej, albo z ul. Krzywickiego. Kilka dni temu rozmawiałem z koleżanką, zaprzyjaźnioną jeszcze z lat szkolnych i młodzieńczych, która po 1945 r. siedziała w więzieniu przy ul. 11 Listopada (bo i tam było więzienie) i przy ul. Namysłowskiej. Mówiła mi, że pod celami kobiecymi co noc byli rozstrzeliwani ludzie. Według moich wiadomości oraz według informacji z tamtego terenu zwłoki ludzkie były wywożone i grzebane gdzieś w okolicy cmentarza na Bródnie. Nie wiadomo, czy na cmentarzu Bródnowskim, czy na przyległym cmentarzu Żydowskim. Ilu jest tam pochowanych, nie wiadomo. Natomiast wiadomo, że zwłoki ludzi zastrzelonych na Rakowieckiej były wywożone i chowane w taki sam sposób nie tylko na Służewcu, ale również na cmentarzu Komunalnym na Powązkach. I na tym miejscu pochówku tych ludzi, grzebanych potajemnie w nocy, są urządzone inne groby. Zwłoki chowano bez odzieży i bez znaków rozpoznawczych. Zwłoki ludzi, których nazwisk nikt nigdy nie ustali.

Proszę Państwa, według informacji, które do mnie dotarły, na terenie Mokotowa są jeszcze dwa inne miejsca grzebalne mniejszej skali. Jedno z nich znajduje się podobno pod stojącym tam budynkiem lub też pod zabetonowanym podwórzem.

Dla wszystkich ludzi mojego pokolenia nie jest tajemnicą — i każdy, kto chce pamiętać, to pamięta — że poza sądami w Warszawie działały na terenie Polski wojskowe sądy rejonowe, które sądziły cywilów. Wiadomo, że na terenach województw siedleckiego, łomżyńskiego i białostockiego tuż po wojnie działał sąd, który był nazwany wtedy „sądem na kótkach” dlatego, że ekipa sądowa razem z oddziałem konwojowym jeździła po wsiach i miasteczkach, sądziła tam, a konwój wykonywał na miejscu kary śmierci przez rozstrzelanie. Ten sąd postugiwiał się pieczętką Sądu Okręgowego w Siedlcach. Proszę Państwa, o tym wiedział i wie każdy adwokat, który był w tym czasie adwokatem, wiedział o tym każdy świadomy Polak, bo była to wtedy potężna fala terroru i represji. Jeżeli jednak o tym się nie pisze w artykule, który tu omawiamy, to pisze się nieprawdę dlatego, że podstawową zasadą mówienia prawdy jest nic nie ukrywać z tego, co mi jest wiadome, zwłaszcza z rzeczy najistotniejszych. A właśnie ogrom represji tego okresu był cechą najistotniejszą. Jeżeli więc ktoś, pisząc na temat tych procesów, poświęca im 3,5 strony z 30-stronicowego artykułu, to znaczy, że nie

wie, ale nie może nie wiedzieć. Mówię o tym dlatego, że trzeba było wreszcie o tym powiedzieć.

Sięgnę teraz do osobistych wspomnień. Otóż tak się złożyło, że w latach 1955—1956 byłem działaczem w Zrzeszeniu Prawników Polskich. Była tam wówczas prowadzona intensywna akcja rozliczania tych, którzy są winni występków, o których mówiłem. I sędziowie, na których ciążyło odium wydawania tego rodzaju wyroków, na zebraniach publicznych mówili jedno: „Jak mogliśmy przypuszczać, że dowody są fałszywe, jeżeli obrońcy ich nie kwestionowali.” Proszę Państwa, to dla nas musi pozostać nauką na przyszłość. Chciałem młodym adwokatom przekazać wiadomość, że jeżeli ktoś nie wykonuje w sposób należyty, odważnie i sumiennie obowiązków obrońcy, to staje się współwinnym fałszywego wyroku. Jeżeli ktoś obawia się, a może się obawiać, występowania w sprawach kontrowersyjnych, w sprawach trudnych, w sprawach, w których są naciski, to niech lepiej w nich w ogóle nie występuje.

Jeżeli podejmowaliśmy się tych obron, to nie dlatego, żebyśmy ja czy moi koledzy byli tacy odważni. Ale jeżeli mieliśmy odwagę decydować się na nie, to przede wszystkim dzięki Państwu, dzięki warszawskiej adwokaturze, dzięki Warszawskiej Radzie Adwokackiej. Czuliśmy za sobą poparcie. Poparcie i oparcie właśnie w całej adwokaturze. Nienapisanie o tym, o czym mówiłem przed chwilą, jest moim zasadniczym zarzutem pod adresem artykułu mec. Łyczewka. Artykuł ten z braku źródeł może się stać jednym ze źródeł wiadomości o tamtych czasach. Mecenas Łyczewek zdaje sobie z tego doskonale sprawę, bo pisze we wstępie, że być może nie będzie można dostać się do tych akt. Jak trudno było już przed 30 laty uzyskać dostęp do tych akt, może świadczyć to, iż powołanej przez Radę Adwokacką komisji do zbadania postępowania adwokatów (komisji działającej na wzór komisji do badania działalności sędziów) udostępniono akta jedynie 53 spraw. A, jak mówiłem, na cmentarzu na Służewcu leży około 2 tys. ludzi. A czy wiecie, kiedy ostatnio tam pochowano zwłoki? Po raz ostatni pogrzeb tego rodzaju odbył się w 1956 r. w październiku. Czy wiecie Państwo, że ten jeden pogrzeb jest podobno zidentyfikowany z imienia i nazwiska. I leży tam głaz, na którym nie wiadomo kto — prawdopodobnie rodzina — usiłuje umocować metalową tabliczkę z napisem wskazującym nazwisko i datę śmierci tego człowieka. Był to oficer Wojska Polskiego. I nieznani sprawcy stale tę tabliczkę odrywają.

Trzeba zdać sobie z tego sprawę, jakie znaczenie miały działania tzw. wymiaru sprawiedliwości. Ja powiem wyraźnie: wymiaru sprawiedliwości, bo ci sami sędziowie orzekali w innych zwykłych sprawach według tych samych regulaminów i według tych samych przepisów. Ale jeżeli spojrzymy na te czasy przez pryzmat zdarzeń historycznych, to zobaczymy, że właściwie była to świadoma eks-



terminacja elit społecznych narodu polskiego. Tak samo jak w Katyniu, Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie zginęli ludzie, którzy reprezentowali jakieś elity społeczne, autorytety społeczne różnych kręgów społecznych. Tak samo na Mokotowie, na Krzywickiego, tak samo tu leżą ludzie, którzy mieli w swoich kręgach autorytet i stanowiska. Celem tego było wyeliminowanie elity z naszego społeczeństwa, z naszego narodu. A zajrzyjcie Państwo do statystyki! Ile ludności miała wówczas Polska wyniszczona wojną, z wymordowaną wielką liczbą ludzi, ze znaczną częścią mieszkańców pozostającą poza granicami i nie powracającą. Można więc stwierdzić, jak wielkie miało to znaczenie i jak wielki wpływ miało ono na to, co się w Polsce działo. Nie można o tym nie mówić i nie można tego nie wiedzieć. I nie może o tym nie wiedzieć adwokat ze starszego pokolenia i nie można tego pominąć w artykule napisanym przez adwokata. Bo na to pismo będą się powoływali historycy, gdyż brak jest innych źródłowych danych. Że była to świadoma wtedy akcja, świadczy o tym to, że autor wzmiankuje lekko, mówiąc o procesach przeciwko kułakom. A przecież tych kułaków zamykano tysiące. Zamykano ich, by zdeorganizować wieś. Zamykano najlepszych gospodarzy, tych, którzy w swoim środowisku wiejskim cieszyli się największym autorytetem, mieli największą wiedzę, największą umiejętność gospodarowania, którzy reprezentowali jakąś siłę.

Czy młodzi wiedzą, co to były tzw. „kibłówki”. Były to procesy, na które sąd zjeżdżał do więzienia. I w ramach takiego procesu płk Skalski, ostatni dowódca Dywizjonu 303, dywizjonu, który potem został nazwany „Cyrkiem Skalskiego”, bohater ostatniej wojny, po powrocie do kraju został osądzony. Jak pisze w swoich wspomnieniach, proces odbył się w następujących warunkach: kiedy został wezwany na rozprawę, akurat nalano mu zupę obiadową do blaszanej miski, a kiedy wrócił już po wyroku, zupa jeszcze nie wystygła. To był proces sądowy! Nie wiem, czy był obrońca. W wielu wypadkach sąd nie dopuszczał obrońców. Ale był na pewno prokurator, byli sędziowie, był akt oskarżenia, miała się odbyć narada i miał być ogłoszony wyrok. Wrócił z wyrokiem kary śmierci.

Proszę Państwa, jak zawodne i fałszywe są źródła, które dotyczą tego okresu, dowodem jest książka, może niektórym z Państwa znana, tzw. raport Szerera. Szerer był tym sędzią, który został powołany do badania nadużyć sędziów orzekających w tych sprawach. Jako na świadków presji powołuje się sędzia Szerer na nazwiska pięciu sędziów Sądu Najwyższego, którzy przeszli do Sądu Najwyższego z Sądu Wojskowego. Określa ich jako prawników godnych zaufania i szacunku. Pomija tylko to, że tych pięciu ludzi jako sędziów Sądu Wojskowego mianował sędziami Naczelny Dowódca Ludowego Wojska Polskiego. Kiedy zaczęto się to wszyst-

ko pruć, otrzymali od niego przeniesienie do powszechnego Sądu Najwyższego i jak gdyby nic — przeszli, sędzili w tym Sądzie, nie mając nominacji sędziowskiej, i przez parę lat orzekali. Czy są to godni zaufania prawnicy, którzy wiedzą o tym, że wydają wyroki, nie mając do tego tytułu?

Pan Barcikowski był wtedy tym Pierwszym Prezesem Sądu Najwyższego, który ich przyjął i umożliwił im to orzekanie. To za Barcikowskiego zorganizowano w Sądzie Najwyższym tzw. „Sekcję Tajną”. Jak można na tych materiałach się opierać?

Autor artykułu mówi o tym, że trzeba mówić o obronach i o obrońcach oraz o roli adwokatów, którzy przyczynili się do zmiany praktyki. Ale dlaczego, wymieniając nazwisko i chwając mec. Hejmowskiego za obronę Greisera, nie wspomina, że tenże mec. Hejmowski za swoje obrony w 1956 r. został pozbawiony wykonywania zawodu i skreślony z listy adwokatów, gdyż zrobiono mu fikcyjną sprawę? Mecenasa Łyczywek, jak mi wiadomo ze wspomnień niezującego już mec. Lis-Olszewskiego, był przez pewien czas przed wojną jego aplikantem czy współpracownikiem, a więc na pewno znał go. Dlaczego więc nie wspomina o tym, w jakich warunkach mec. Lis-Olszewski przebywał w więzieniu? Dlaczego nie pisze, że z tych wielu lat pobytu w więzieniu mec. Lis-Olszewski przebywał przez 3 miesiące w celi w piwnicy na betonowej podłodze, w celi o tak małej objętości, że w żadnym kierunku nie mógł się wyprostować. I że na tę betonową podłogę strażnik co wieczór wylewał wiadro wody ze słowami: „żebyś się taki synu nie rozsechtł”. I dlaczego nie ma w artykule wzmianki o tym, że kiedy potem mec. Lis-Olszewski podjął się znowu obron w najtrudniejszych sprawach politycznych, to nie tylko jemu, ale i mec. Siła-Nowickiemu — na wniosek ministra sprawiedliwości — zawieszono prawo wykonywania zawodu i usiłowano jeszcze zrobić sprawę karną? A wiecie Państwo, o co sprawę karną? O rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, bo bronili wtedy w sprawie Niny Karsow, w której to sprawie pamiętniki jej były przedmiotem zarzutu. A te pamiętniki w odpisach mieli obrońcy u siebie w domu.

Nikt również nie pamięta i nie chce wspominać o tym, że mec. Jan Olszewski był decyzją ministra zawieszony w swych czynnościach na okres 2 lat. Nikt nie wspomina o tym, że członek Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie mec. Jan Konopka za to, że miał u siebie wspomnienia Józefa Światty, był aresztowany i oskarżony. Nikt nie wspomina tu o tych wyrokach i o tych sprawach, które się toczyły o wszelkiego rodzaju wiadomości kulturalne.

Jeżeli się mówi o adwokaturze i adwokatach, to dlaczego nie ma ani słowa o sprawie mec. Koziółkiewicza, szefa prokuratury Polski Podziemnej, mec. Ernsta, szefa Sądu Specjalnego przy Delegaturze Rządu, a także mec. Dryjskiego. Wszyscy oni byli dłuższy czas wię-

zieni, a jedyną ich winą było to, że spełniając swój obowiązek, działali w ramach administracji Państwa Podziemnego. I nie ma słowa o tym, co stało się z tak znakomitym i zasłużonym obrońcą politycznym jeszcze z czasów przedwojennych (bronił w procesie robotników z Semperitu) p. mec. Anielą Steinsberg?

Nie wiem, czy Państwo wiecie, że i ja, i mec. Siła-Nowicki w czasie obron w Radomiu mieliśmy pewne przykrości fizyczne. Złożyliśmy wtedy skargę za pośrednictwem kierownika Zespołu; nadał on jej właściwy bieg, przesyłając naszą skargę do prokuratury. Prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie ze względu na znikomą szkodliwość czynu polegającego na atakowaniu adwokata i tych ludzi, którzy przyszli. W uzasadnieniu postanowienia napisano jeszcze, że przecież byliśmy atakowani nie na sali sądowej, ale na korytarzu, a więc nie utrudniało to obrony. Ale w krótki czas po złożeniu przez nas skargi zapadła w Katowicach i była rozpowszechniona uchwała podjęta 22 stycznia 1977 roku przez członków Rady, kierowników zespołów, zastępców kierowników, wizytatorów i członków aktywu organizacji społecznej, która, tj. uchwała, zawierała taki akapit:

„(...) W działalności tej biorą również udział nieliczni członkowie polskiej adwokatury, godząc w ten sposób nie tylko w interes społeczeństwa i całego narodu, ale narażając również na szwank godność i autorytet samego środowiska adwokackiego. Zdarzały się również wypadki wystąpień adwokatów z pozycji antysocjalistycznych, na których ośrodki wrogiej propagandy budują swą antypolską i antysocjalistyczną propagandę. Adwokatura naszej Izby, wierna niezłomnej polityce Partii, odcina się w sposób zdecydowany od tej mącielińskiej działalności i przeciwstawia się sianiu społecznego niepokoju i próbom rozbijania jedności społeczeństwa w sytuacji, w której jedność narodu i skupienie się wokół istotnych spraw kraju ma zasadnicze znaczenie dla naszego rozwoju. Protestując przeciwko takiej działalności, zebrani w dniu dzisiejszym członkowie organów kierowniczych zespołów adwokackich Wojewódzkiej Izby Adwokatów w Katowicach oraz cały wymieniony na wstępie aktyw zwracają się do Naczelnej Rady Adwokackiej o położenie kresu tego rodzaju działalności niegodnej adwokata PRL.”

O tej uchwale, o roli obrońcy w procesach politycznych w artykule mec. Łyczynka nie ma żadnej wzmianki. A przecież mówiono o tym na Zjeździe Adwokatury w Poznaniu, a więc sprawa była jawna i powszechnie znana. Jeżeli mamy przedstawić działalność adwokatów w procesach politycznych, to nie można pominąć tych presji, jakim byli oni poddawani.

Proszę Państwa, nie chcę mówić o swoich refleksjach, o swoich przeżyciach po obronach w wielu procesach politycznych, nie chcę mówić w ogóle o procesach z lat 1968—1988 dlatego, że procesy te,

zwłaszcza od 1976 r., mają obfitą dokumentację. Jest książka „Radom 76”. Jest tam wszystko opisane, nie ze wszystkim trzeba się zgodzić, nie wszystko jest tam prawdziwe, ale fakty są zarejestrowane. Od czasu powstania KOR, od czasu powstania biura interwencyjnego wszystkie lub prawie wszystkie procesy są rejestrowane i opisywane. Są to procesy świeże, żyją jeszcze uczestnicy, świadkowie, nie ma więc sensu o tym mówić. Ale do zabrania głosu zmusiło mnie nie to, że ktoś chce mieć taki czy inny pogląd na procesy polityczne tego okresu. Niech ma; ja mu tego poglądu nie zabieram. Ale w wypadkach, w których brak źródeł, a wiadomości, które są tam podawane, są sprzeczne z wiadomościami, jakie posiadam, uważałem, że muszę zabrać głos dlatego, że nie można pominąć milczeniem tego wszystkiego i dopuścić do tego, żeby obraz tego stał się obrazem nieprawdziwym.”

\*

Na zakończenie zebrani uczcili minutą ciszy pamięć tych nie znanych z imienia i nazwiska ofiar zamordowanych tylko dlatego, że byli Polakami, oraz tych znanych i nie znanych adwokatów, którzy ze szkodą dla własnych interesów uważali, iż powinni jak najlepiej i najgodniej spełnić swój obrończy obowiązek.

*Kazimierz Kalinowski  
Henryk Pieliński*

WŁODZIMIERZ ROSŁONIEC

### **WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO (1939—1945)\***

Statut konspiracyjnej organizacji wojskowej „Służba Zwycięstwu Polski” nie zawierał wprawdzie postanowień dotyczących powołania Szefostwa Służby Sprawiedliwości, ale Dowódca Główny tej organizacji gen. Michał Karasiewicz-Tokarzewski i Szef Sztabu płk Stefan Rowecki już w październiku 1939 r. zdawali sobie sprawę z konieczności powołania do życia podziemnego wymiaru sprawie-

\* O zagadnieniach poruszonych przez Autora artykułu piszą obszerniej: Paweł Maria Lisiewicz: *W imieniu Polski Podziemnej, IWZZ, Warszawa 1988* oraz Leszek Gondek: *Polska karząca 1939—1945, Wyd. Pax, Warszawa 1988.*